

Tajemnice hitlerowskich sztabów

WNRF, przedstawiając dzieje wojny Trzeciej Rzeszy przeciwko Związkowi Radzieckiemu, wciąż jeszcze lansuje się tezę o możliwości zwycięstwa Wehrmachu. Ponoć za „niezastępowalną klęskę” ponosi wyłączną odpowiedzialność — Hitler, który nie słuchał swych „najlepszych na świecie” generałów. Ponoć generałowie ci przestrzegali nawet Hitlera przed zyskiem wielkim ryzykiem napaści na ZSRR.

Inaczej jednak wygląda sprawa generalskiego rozsądku, jeśli nie zadowalając się tendencyjnymi relacjami ich samych, sięgamy po oryginalne źródła, np. stenogramy rozmów Hitlera z jego wojskowymi współpracownikami oraz dokumenty sztabowe.

Oto kilka przykładów.

Pomysł dokonania agresji na Związek Radziecki jeszcze przed pobiciem Wielkiej Brytanii przedzielił się w głowie Hitlera. Doszedł on mianowicie do wniosku w lipcu 1940 roku, iż jeśli Anglia, nawet po klęsce Francji odrzuca jego pokojowe (czytaj: kapitulacyjne) propozycje, przyczyną tego jest wiara Churchill w możliwość wciągnięcia do wojny przeciwko Trzeciej Rzeszy właśnie Związku Radzieckiego. Tak więc — spekulował Hitler — jeśli rozbijając Związek Radziecki, rozwinie się te nadzieje Londynu, rząd Churchilla będzie musiał skapitulować. Im szybciej też się dokona pogromu ZSRR (realizując w ten sposób programowe cele nacjonalistycznego w dziedzinie polityki wschodniej, wyłożone już w „Mein Kampf”), tym lepiej. Wehrmacht — rozumował Hitler — jest po kampanii na zachodzie — wygranej przy minimalnych stratach — w szczytowej formie. Natomiast Armia Radziecka dopiero modernizuje swe uzbrojenie. Osiabiona jest kadrowo represjami, jakie w następstwie klimatu kultu jednostki dotknęły wybitnych dowódców. Ale każdy rok pomyślniej realizacji pięcioletniego, zwiększa możliwości obronne Związku Radzieckiego, będącego na razie, według ekspertów placówek wywiadowczych Wehrmachtu i SS, „kołosem na glinianych nogach”.

BEZ SPRZECIWU GENERALÓW

Nie była to wszakże już decyzja, w sprawie pochodząca od wschodu. To był tylko pomysł. W tym samym czasie np. Hitler myślał także o podboju Szwajcarii, opracowane już były szczegółowe plany. Mimo to, jak wiać domo, decyzji w tej sprawie Hitler nie podjął. M.in. za sprawą służb wywiadowczych, których ekspertyzy

świadczyły o nieopłacalności takiego, łatwego militarnie, kroku.

Pomysł wojny przeciwko ZSRR Hitler przedstawił jeszcze w końcu lipca 1940 roku swym najbliższym współpracownikom wojskowym. M.in. głównodowodzącemu Kriegsmarine wielkiemu admirałowi Raederowi oraz szefowi sztabu generalnego OKH generałowi Halderowi, którego dziś uważa się w NRF za przeciwnika prowokowania wojny ze Związkiem Radzieckim. Ale tylko Raeder zgłaszał zastrzeżenia, a to z tego względu, że bojąc się druzgocącej przewagi floty brytyjskiej nad Kriegsmarine, chciał, by natychmiastowa inwazja sił lądowych Wehrmachtu w Anglii, zmuszająca ją do kapitulacji, zapobiegła długotrwałej, nie rokującej Trzeciej Rzeszy sukcesów, wojnie morskiej.

Stopniowo w krag wtajemniczenia wciągani byli coraz liczniejsi generałowie i coraz bardziej konkretyzowane były przez nich plany bliskowicznej kampanii. Czy wysuwano choćby wówczas jakiegokolwiek za-

Zbigniew Szumowski

„Niezlomny kalkulator” i jego wywiad

strzeżenia lub wątpliwości? Nie. Generałowie proponowali jedynie (i Hitler zgodził się na to bez oporu), by błyskawiczną kampanię przeprowadzić nie jesienią 1940 roku, lecz wiosną roku następnego, w korzystniejszych warunkach atmosferycznych. Co zaś dotyczy się oceny sił radzieckich, generałowie zgodnie twierdzili, iż co najmniej 200 dywizji Wehrmachtu może szybko uporać się z „najwyżej 164 złe uzbrojonymi dywizjami”. Jedyną obiekcją Haldera — która ma ponoć świadczyć o jego sprzeciwach: czy mimo wszystko starczy sił Luftwaffe, by jednocześnie z działaniami na froncie wschodnim kontynuować ofensywę powietrzną przeciwko Wielkiej Brytanii.

Generałowie tak świącie byli przekonani o błyskawicznym zwycięstwie nad ZSRR, iż nawet nie podjęli starań, by zabezpieczyć Wehrmacht w umundurowanie zimowe, dostosowane do klimatu kontynentalnego.

W grudniu 1940 roku zostały zato zakończone prace nad planem błyskawicznej kampanii, w ślad za tym podpisane przez Hitlera wytyczne do niej (znany kryptonim „Barbarossa”). W pół roku później — 22 czerwca 1941 roku, zaczęto je realizować.

OPTYMIZM HALDERA

Choć Armia Radziecka, zaskoczona i nie przygotowana należycie do

toku informacji może oddać klinice nieocenione usługi. Takie zadanie udało się rozwiązać, wykorzystując do diagnostyki nowoczesne elektroniczne maszyny matematyczne.

W Instytucie Chirurgii w Moskwie utworzono laboratorium cybernetyki. Opracowano tu logiczne założenia diagnostyki i przygotowano konkretne programy dla elektronicznej maszyny matematycznej „Ural-2”.

Organizację wewnętrzną naszej służby diagnostycznej można podzielić na dwie części: z jednej strony jest to pamięć czyli uogólnione doświadczenie lekarskie w danej dziedzinie schorzeń, z drugiej zaś — logiczny proces myślenia, który umożliwia zestawienie symptomów choroby z naszym doświadczeniem lekarskim. Dzięki temu systemowi trafność rozpoznania wynosi u nas przeciętnie 92 procent.

Możliwość wykorzystania maszyn cybernetycznych w diagnostyce wzrastają dzięki pracom innych ośrodków medycznych w ZSRR. Tak np. w Kijowie prof. N. Amosow opracował układ do diagnostyki schorzeń serca. W Leningradzkim Instytucie Neurochirurgii opracowuje się automatyczny układ do rozpoznawania nowotworów mózgu. W Wojskowej Akademii Medycznej im. Kirowa opracowano układ diagnostyczny do rozpoznawania 48 schorzeń układu nerwowego i różnych form śpiączki.

ARCHIWUM CHORÓB

Przy tworzeniu pamięci medycznej układu diagnostycznego lekarze naszego laboratorium musieli prześledzić olbrzymi materiał kliniczny — tysiące historii chorób. Zadanie to udało się rozwiązać stosunkowo szybko i dokładnie dzięki specjalnie stworzonemu elektronicznemu archiwum medycznemu.

W tym zautomatyzowanym archiwum historie chorób przechowywane są w formie zakodowanej, w postaci perforowanych kart. Na każdej

Dokończenie na str. 2

tygodnia

WYDAWCA GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 193

4. VII. 1965 r.

Rok V

wojny, ponosiła klęskę, nie została pobita. Cóż, kiedy generalicja niemiecka w dalszym ciągu awanturniczo lekceważąc przeciwnika, jego siły obronne, przedstawiała Hitlerowi już początkowe sukcesy operacyjne, jako dowód rychłego, bezspornego sukcesu strategicznego.

3 lipca 1941 roku generał Halder stwierdził, iż „zadanie, by masę rosyjskich sił lądowych rozbić na zachód od Dźwiny i Dniepru, zostało wypełnione”. Co prawda dodawał: „Rozległość obszaru oraz zaciętość prowadzonego wszelkimi środkami oporu (radzieckiego), będzie nas angażowała jeszcze wiele tygodni”. Ale nawet to uzupełnienie świadczy, iż Halder liczył się jedynie z ogromem wysiłków, finalizujących rozstrzygnięcia już strategicznie, rzekomo super-błyskawiczną kampanię.

...OSTATNIE 11 DYWIZJI RADZIECKICH

Przy tym optymizmie swój generał Halder, którego historycy zachodni niemiecacy reklamują jako „niezłomnego kalkulatora”, czerpał z ocen sił radzieckich, ocen dostarczanych systematycznie przez podległego sobie szefa wywiadu „Fremde Heere Ost” (wywiadu antyradzieckiego), pułkownika Kinzela. Ten zaś twierdził 10 lipca 1941 r.: spośród 164 spodziewanych dywizji radzieckich (że będzie ich więcej, w ogóle nie brano pod uwagę), w ciągu dwóch tygodni rozbito już całkowicie lub prawie całkowicie 69 strzeleckich i 20 pancernych, dalszych 9 pancernych i 46 strzeleckich znajdowało się już na froncie, walcząc z przeważającymi siłami Wehrmachtu, tak że dowództwu radzieckiemu jako ostatnia rezerwa pozostało zaledwie 11 dywizji.

Hitler zawierzając optymistycznym ocenom swoich sztabowców. W ślad za tym w połowie lipca podjął szereg „śmiałych decyzji” które, ponieważ wynikały z fałszywych przesłanek, były po prostu awanturnicze. Ułatwiły stronie radzieckiej dokonanie pamiętnego pogromu Wehrmachtu na przedpolach Moskwy... Czyż można się dziwić, że w efekcie Hitler stracił zaufanie do swych sztabowców? Że dokonał czystki w sztabie. I że jedną z ofiar jej był właśnie pułkownik Kinzel. Jego następca na stanowisku kierownika wywiadu antyradzieckiego został protegowany przez szefa wywiadu operacyjnego Heusingera, świeżo upieczony pułkownik Reinhard Gehlen...

Olgiert Błazewicz

Okrutne gry Albee'go

Bardzo dziwne przedstawienie. Dobrze w gruncie rzeczy zrobione aktorsko, efektowne, pełne wrażeń, realizmu i napięcia, a jednak dziwne i niepokojące. Albee napisał sztukę o ludzkich kompleksach i uciążliwych ambiacjach, metaforyczną i wieloznaczną, bardzo okrutną, ale salonową — wyrafinowaną i intelektualną. Treść jej są gry towarzyskie, masochistyczna przywłoka, okrutna zabawa i walka skazanych na siebie nawzajem partnerów — męża i żony. Wzajemne burzenie sobie mitów, wzajemne niszczenie się. Wszyskie sytuacje są w niej wymyślone, stworzone przez samych bohaterów sztuki. Prawda, że okrutne, ale wymyślone, podwójnie grane przez małżonków z Nowej Anglii i przez aktorów na scenie. Wszystko jest tu gra, w której przekroczone zostały tylko zasady fair play, ale która mimo to trzeba kontynuować.

Na scenie Teatru Nowego powstał jednak z tego ponury dramat naturalistyczny, studium psychopatologicznej obłąkania, zbrodni i wynaturzenia. Realizatorzy spektaklu dali się uwieść fabule, zawężonej koncepcji realizmu społecznego i mocnych wrażeń. Dali dobre, solidne przynależne przedstawienie, ale nie dali prawdziwego Albee'go; zaadaptowali go raczej dla swojego modelu teatru; trochę zwulgaryzowali. Bo spektakl ten jest typowym przeniesieniem pewnych doświadczeń ze spraw interpretacji aktorskiej „Wiecznego małżonka” i „Dziecinnych kochanków” na grunt „Albee'go”, bez pełnego wnिकienia w autorską koncepcję sztuki, bez

Irena Frąckowiak

Starzy rodzice w ankiecie i w rzeczywistości

Jeśli ankieta nie jest robiona metodą doboru grupy reprezentacyjnej, tj. złożonej z ludzi, którzy odzwierciedlają przekrój społeczeństwa, z góry można przewidzieć, że odpowiedzi dadzą obraz jednostronny. Fowinnimy o tym pamiętać czytając listy z ostatniej ankiety „Życia Warszawy” pt. „Rodzice — dzieci — rodzice”.

Co niesie wiek „poprodukcyjny”

Dziwny jest świat tych rodziców — dziwny dlatego, że zbyt piękny, zbyt idealny. Mamy dzisiaj w Polsce około 3 miliony ludzi w wieku poprodukcyjnym. Jest to problem społeczny ogromnych rozmiarów. Większości takich ludzi nie potrafimy zabezpieczyć tzw. spokojnej starości, ani przez renty odpowiednie do kosztów utrzymania, ani tym bardziej przez otoczenie ich wszechstronną opieką w domach rencistów czy domach zdrowia. Otwarta zostaje również sprawa wieku emerytalnego, który aż nadto często obejmuje osoby w pełni sił i zdolności do pracy. Dla wielu z nich odejście w „domowe zacisze” jest dramatem, który przez długie lata rzutuie na ich stosunek do życia, czyni, że są zgorzkniali i niezdolni do radości.

Tak w rzeczywistości wygląda u nas problem pokolenia osób sześćdziesięcio-siedemdziesięcioletnich. I nie jest żadną pociechą, że podobnie przedstawia się niemal we wszystkich krajach o rozwiniętej cywilizacji przemysłowej.

„Żądajmy bardzo mało...”

Czy w odpowiedziach na ankietę znajdziemy echo tego problemu? Bynajmniej. „Chodzi mi jedynie o przejaw dobrej woli w stosunkach dwóch pokoleń” — pisze 72-letni czytelnik. „Nie obarczamy dzieci obowiązkiem pomagania nam. Dzieci mają już swoje obowiązki — muszą nam wychować wnuczęta” — pisze 61-letnia Janina R.”. „Pozostało mi przeświadczenie: nie żądajmy zbyt wiele od swoich dzieci. Albo nawet lepiej: żądajmy od nich bardzo mało” — pisze 56-letnia warszawianka. „Uważam, że jeśli matka daje z siebie wszystko dla dziecka, nie powinna liczyć na zwrot kosztów, bo to jest naszym obowiązkiem wychować i wykształcić dzieci, jeśli siły wystarczą” — pisze 54-letnia Matka. „Nie ma najmniejszych wątpliwości, że wydając na świat dziecko rodzice biorą na siebie obowiązek zapewnienia mu szczęścia, stworzenia właściwych warunków. Nie ma żadnych podstaw, aby rodzice żądali od swych dzieci z tego tytułu specjalnej wdzięczności” — pisze czytelnik M. I.

Sen o wyrozumiałości miłości — i...

Przytoczyliśmy urywki najbardziej charakterystycznych wypowiedzi zgrupowanych pod wspólnym tytułem „Miłość i obowiązek”. Czytając je, odnosi się wrażenie, że w naszym kraju nie nie doskwiera starym ludziom, jeśli tylko w stosunkach z własnymi dziećmi umieją niczego nie żądać ani nie oczekiwać, płynąc na fali wyrozumiałości miłości.

Z tego pięknego snu budzi nas brutalnie rzeczywistość. Dziesiątki tysięcy protokółów, w których opiekunowie społeczni piszą o gehennie starych ludzi, dręczonych, głodzonych i bitych przez dzieci, którym z rodzicami jest „za ciasno” albo „za drogo”. Tysiące skarg o alimenty, wnoszonych przez cierpiące nędzę matki przeciwko dobrze sytuowanym dzieciom. Hańbiące procesy, w których z jednej strony występuje ojciec w stanie krańcowego wyniszczenia, a z drugiej wcale dobrze zarabiające potomstwo. Starzy rodzice cierpiący głód i poniewierkę, ponieważ oddali dzieciom gospodarstwa na „dożywocie”. Chorzy rodzice, którymi z litości opiekują się sąsiedzi, gdyż mieszkające w pobliżu dzieci mają „za dużo własnych spraw”.

Co się mieści w rachunku?

Z jednej więc strony mamy kilkanaście wzniosłych listów o wielkodusznej, nie nie żądającej miłości rodzicielskiej, z drugiej — tragedie niemal na porządku dziennym. Razem: to samo życie, życie dokoła nas.

Nie kwestionujemy indywidualnej prawdy, zawartej w odpowiedziach na ankietę „Rodzice — dzieci — rodzice”. Na pewno jest wielu starych rodziców, którzy mogą sobie pozwolić na luksus takich rozważań. Chcemy jednak przypomnieć, że społeczny problem stosunku dorosłych dzieci do ich niedołężnych rodziców polega mimo wszystko na obowiązku zapewnienia im opieki. Że nie wolno tego obowiązku cedować w całości na państwo i społeczeństwo w myśl rachunku i „to, co dali mi rodzice, oddaję własnym dzieciom”. Gdyż w takim rachunku mieści się często lodówka i telewizor, pralka i samochód — a nie mieści pięćset złotych miesięcznie dla matki, wdowy po renciście.

gry podtekstu. Przedstawienie zrobili aktorzy, nie zrobił go reżyser. Pozostawił on im całkowicie wolną rękę, wybór konwencji i stylu interpretacji. Fryzlewicz zagrał George'a arcynaturalistycznie i ekspresyjnie, z „bebeszeniem” z obłudną maską szaleństwa. Jego George jest psychopata i wykołajcem — najbliższym kuzynem belgijskiego barona Cazu i Pawła Pawłowicza Trusockiego Dostojewskiego. Zmusza on wszystkich bohaterów spektaklu do skrajnej już wyrazistości reakcji, do krzyku, gwałtowności, ekspresji. Inteligentna, wyrafinowana gra towarzyska Albee'go zamienia się w noc upiórów, w szaleńcze spotkanie czwórki pijanych ludzi biczących się słowami na oślep, ciężko i mdliscie.

Widziałem spektakl warszawski i poznański. Krecmar postawił w Teatrze Współczesnym na prostotę, czystość, na dialog bez ozdóbek, na elegancję rozmowy, precyzję gestu i pomyłu. Trudna, drażniąca, budząca co chwila sprzeciw sztuka słuchała się tam z przyjemnością. Wyszedł on z założenia, że zbyt drastyczne i okrutne są prawdy zawarte w dialogu, aby podkreślić je jeszcze, uwypuklić grą aktorów. W Poznaniu tego zabrakło. Teatralnej kultury wykonawstwa, umiejętności biczenia się z elegancją.

Bo w ogóle spektakl jest bardzo interesujący, sztuka świetnie napisana, role doskonałe do zagrania, wrecz popisowe. Halina Wińska stworzyła tu dużą kreację aktorską, warsztatowo nienaanny był Józef Fryzlewicz jako George. Ciekawie wypadła tu też druga para małżeńska Jerzy Kiszki i Alina Horanin; ta ostatnia jest wcale nie gorsza od swej warszawskiej koleżanki z Teatru Współczesnego. W sumie więc duża rzecz, ale zarazem bardzo niepokojąca. Niepokojąca, przez nietolerancję wobec autora, przez zawężony pryzmat widzenia, przez adaptatorstwo.

Teatr Nowy w Poznaniu: „Kto się boi Virginii Woolf” Edwarda Albee, w przekładzie Krystyny Jurasz Dąbskiej, reżyserii Jerzego Hoffmanna i scenografii Zbigniewa Bednarowicza. Premiera 30 czerwca.

TEATR

Polskie filmy o sztuce

Filmy krótkometrażowe o sztuce ukazywać się zaczęły dopiero od r. 1939. Znaczenie tego rodzaju filmów ze względu na ich walory dydaktyczne i artystyczne jest obecnie powszechnie doceniane. Dyskutowano nad tym podczas II Międzynarodowego Festiwalu Krótkiego Metrażu w Krakowie na specjalnie zorganizowanym przez Międzynarodową Federację Filmów o Sztuce kolokwium. Realizatorzy, krytycy, historycy sztuki z różnych krajów po wystąpieniu sprawozdań przedstawicieli ZSRR, Indii, Japonii i Polski omawiali sprawy produkcji filmów i emisji TV poświęconych sztuce, nowe tendencje w tych filmach i perspektywy rozwoju.

Jak się przedstawia dorobek Polski w tej dziedzinie?

W okresie 20-lecia zrealizowano w Polsce, nie licząc filmów dla TV, ponad 120 filmów o architekturze, rzeźbie, malarstwie, grafice i rysunku oraz o sztuce ludowej. Oprócz tego ok. 70 filmów, głównie dokumentalnych, poświęcono teatrowi i muzyce. Nie jest to zbyt wiele. Polska architektura zabytkowa i współczesna nie znalazła dotąd należytego odbicia w filmie. Lepiej jest z przedstawieniem rzeźby, która wyraża się w architekturze (np. Strzelno, drzwi gnieźnieńskie, ołtarz Wita Stwosza). Nikt nie są jeszcze wysiłki polskich filmowców na odcinku grafiki i rysunku, a współczesny polski plakat artystyczny wciąż jeszcze czeka na filmową realizację.

Najliczniejsze polskie filmy o sztuce poświęcone są malarstwu. Ogólne problemy historii i teorii malarstwa, monografie wielkich malarzy polskich, interpretacja ich twórczości — oto tematy większości pozycji. Do najciekawszych prób w tej dziedzinie zaliczyć należy m. in. na grodzno na ogólnopolskim festiwalu krakowskim „Interpretacje” Jarosława Brzozowskiego oraz filmy Konstantego Gordona o Bronisławie Linkem. (PAP).

Cybernetyka w medycynie

Dokończenie ze str. 1

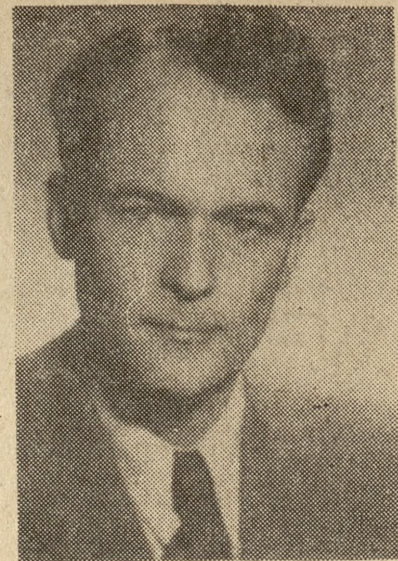
z nich specjalnym dziurkaczem oznaczono obecność symptomu stwierdzonego u badanego pacjenta.

Taka kartoteka, składająca się z paru tysięcy zakodowanych historii chorób, znajduje się w specjalnym tabulatorze z elektronową przystawką, która umożliwia szybkie uzyskanie różnych danych statystycznych. Zautomatyzowany system informacyjny na podstawie samych tylko symptomów, bez ostatecznego rozpoznania, umożliwia w ciągu kilku minut znalezienie precedensów schorzenia.

Nasze archiwum zdołało ostatnio uzupełnić o historie chorób ludzi leczonych w innych ośrodkach kardiologicznych Moskwy i Leningradu. Istnieje też możliwość włączenia do archiwum materiałów z klinik innych miast, a w przyszłości również z innych krajów.

OBOK STOLU OPERACYJNEGO

Wykorzystanie cybernetyki w medycynie nie ogranicza się oczywiście do diagnostyki. Ogromne per-



Poznańscy pisarze

Rozpoczął pracę pisarską od przekładów, głównie z literatury niemieckiej; potem obcując z nią coraz bardziej zażyłe, zaczął podobnie jak nieomal wszyscy wybitni tłumacze ewoluować w stronę krytyki, analizy literackiej, śledzenia mechanizmu i psychologicznych bodźców twórczości artystycznej, motywów pisarskich. Dziś bardziej niż pracą przekładową zajmuje się krytyką. Literatura niemiecka — obu braćmi Mannami, Anną Seghers, Hermanem Brochem, Robertem Musilem, duńską — M. A. Nexö, irlandzką — James Joyce. Napisał dwie esejistyczne monografie o twórczości Nexö „Magiczny klucz” (1958) i o twórczości Joyce’a „Telemach w labiryncie świata” (1962), obie opublikowane w samodzielnych wydaniach książkowych; dziesiątki przedmów i posłowi do polskich wydań dzieł czołowych pisarzy literatury XX wieku; dał wreszcie wraz z żoną Ireną Naganowską wiele tłumaczeń z niemieckiego. Często pisze też rzeczy drobniejsze we „Współczesności”, „Twórczości”, „Dialogu” i „Teatrze”. Jest recenzowany i tłumaczony we Francji, Anglii, w Niemczech, Czechosłowacji. Odbiwa z rąk swych zainteresowań i kontaktów literackich częste podróże zagraniczne. Jest członkiem Komisji Zagranicznej Zarządu Głównego ZLP, obraca się ciągle w kręgu wielkiej literatury. O niej też trzeba więc przede wszystkim z nim porozmawiać.

— Nad czym Pan obecnie pracuje? Którego z wielkich pisarzy europejskich wziął Pan teraz na warsztat?

— Najbardziej interesują mnie wielcy pisarze — nowatorzy. Stąd moja książka o Joyce’u, stąd szkice o Hermanie Brochu, stąd właśnie Musil, nad którym obecnie pracuję. Piszę monograficzne studium o nim i jego twórczości podobne w formie do książki o Joyce’u. Praca, której się poświęcam, przypomina po części pracę detektywa; na podstawie niejasnych, niepełnych, a nieraz i sprzecznych materiałów, tysięcy stron rękopisów i ustnych relacji trzeba zrekonstruować portret nieznanego pisarza. Największe dzieło Musila: powieść „Człowiek bez właściwości” nie została ukończona przez autora. Jej wydawca dorobił jej zakończenie na podstawie różnych wersji rękopisów i ten właśnie jej kształt ostateczny został niedawno zakwestionowany. Byłem ostatnio w Austrii i we Włoszech; tam udało

mi się dotrzeć do spuścizny rękopiśmiennej Musila i spotkać ludzi, którzy go znali osobiście. Chcę więc dać możliwie wszechstronnie widzianą wizerunek pisarza — nowatora formy prozatorskiej i jednocześnie ciekawego myśliciela. Sława Musila jest bardzo świeżej daty. Zaczęła się dopiero około 1950 roku, a przecież Musil zadebiutował już w 1906 roku prekursorską w owych czasach powieścią „Niepokoję wychowanka Törlessa”, która ukazała się w tych dniach w przekładzie na język polski.

— Czy krytyk oceniając pisarza tego formatu winien Pana zdaniem stosować inne kryteria niż przy omawianiu bieżącej literatury?

— Oczywiście, zupełnie czymś innym jest krytyka dzieł pisarzy trudnych, nowatorskich niż omawianie bieżącej produkcji literackiej. W pierwszym wypadku krytyka polegać będzie przede wszystkim na wyjaśnianiu czytelnikowi tego wszystkiego, co w dziele jest niezrozumiałe, co wymaga wprowadzenia, co może pomóc odbiorcy w jego zrozumieniu. Tym bardziej, że dzieła literatury współczesnej należą często do tzw. dzieł otwartych, tj. takich, które dopuszczają różnorakie możliwości interpretacji i tym samym zmuszają czytelnika, a jednocześnie i krytyka do współdziałania z autorem. Oceniając takie dzieło, bardziej niż przy innych utworach literackich trzeba operować kryteriami z niego samego zaczerpniętymi. Odnosi się to w pewnym sensie do każdego dzieła.

— Czy Musil pochłoniął Pana bez reszty, i na jak długo? Czy pisze Pan jeszcze coś poza tym?

Eugeniusz Paukszt

Nowości „Czytelnika”

Jadna i celna jest przyjęta ostatnio tendencja, by publikować zbiorowe wspomnienia o zmarłych, wybitnych pisarzach. Obecnie otrzymaliśmy pięknie wydany tom (może tylko niektóre zdjęcia są na zbyt mało czytelne) „Wspomnień o Zofii Nałkowskiej”, spisanych przez osiemnaście osób, bliskich wielkiej pisarce, towarzyszących nieraz jej życiu przez wiele lat. Dokument to, wiele często nieznanych szczegółów biograficznych, nade wszystko zaś serdeczna, ciepła nuta związana z człowiekiem, który potrafił tak pięknie odczuwać, myśleć i treść swych przeżyć przekształcać w słowa.

W serii „Dzieł” Stefana Żeromskiego otrzymaliśmy IV tom poszukiwanych „Dzienników” wybitnego pisarza. Słyszało się wszakże opinie, niewątpliwie przesadne, że to największe dzieło artysty... W każdym razie lektura „Dzienników” zdecydowanie poszerza i wypełnia obraz sylwetki pisarskiej i epoki.

W odmienny niejako sposób paltrząca na szereg zjawisk, dopełniająca je, pozycja pamiętnikarska stała się

Józefa Sohn-Soneckiego wspomnienia lekarza obozowego pt. „Byłem jeńcem Wehrmachtu”. Bogato zapisana jest ta kara jeniecka, znaczona przetrwałami z obozu do obozu, praca lekarska w najtrudniejszych warunkach, przerywana okresami więzienia. Masa obserwacji, szczegółów, podawanych spokojnie, bez pasji, ale nie raz mocno tym bardziej wstrząsających.

Zwracam uwagę na interesujące wspomnienia autobiograficzne jednego z najgłośniejszych pisarzy radzieckich Leonida Solowiowa „Z księgi młodości”. Ostre barwy, pełnymi kolorami, namalowane są te lata pisarskiego dojrzewania w Azji Środkowej, lata przełomu w Rosji. Solowiow rzuca obrazy wielkimi plamami, śmiało, zamasyście, pozornie niewidocznie podmalowując je świetnym rysunkiem psychologicznym. W sumie powstaje z tego zaskakująca treść i puentami lektura.

Utworem najcisłej literackim, ale o mocnym walce autobiograficznym, jest tom opowieści skreślonych przez obieżyświata, marynarza, człowieka szerokiego oddechu Stanisława Marię Salickiego w tomie „Pożegnanie z Pacyfikiem”. Jakże Salicki czuje morze, jak potrafi nim żyć, z jego perspektywy widzieć brzozi kontynentu wschodnio-azjatyckiego w dalekich czasach sprzed lat kilkudziesięciu. I jak prawdziwi, prości, brutalni nieraz, ale zarazem w pełni ludzcy, są jego bohaterowie. Bardzo męska, mocna to proza.

Dobrze się stało, że właśnie teraz, krótko po śmierci wybitnej pisarki,

— Razem z żoną tłumaczyliśmy niedawno powieść George’a Saiko „Człowiek w sitowiu” bliską mi przez jej związki z Joyce’em i Brochem. Ukazuje się ona w PIW-ie z końcem roku. Poza tym ogłosiliśmy w ostatnim numerze „Twórczości” przekład jeszcze jednego eseju Tomasza Manna. Gdy skończę książkę o Musilu, a nie nastąpi to wcześniej niż w przyszłym roku, zamierzam rozstać się częściowo z krytyką. Mam pewne plany fabularne związane tematycznie z moimi ostatnimi podróżami po Austrii i Włoszech.

— W czasie tych podróży zapewne zetknął się Pan nie tylko z obcą literaturą. Jak wiemy interesuje się Pan teatrem, parał się Pan przecież m. in. na łamach „Głosu” krytyką teatralną. Może więc jeszcze parę słów o teatrze za granicą?

— Podczas swego ostatniego pobytu w Austrii byłem 35 razy w teatrze. Szukałem tam przede wszystkim nowoczesności, eksperymentów. Ogólne wnioski: teatry austriackie mają znakomitych aktorów, lecz konserwatywnych reżyserów i bardzo niedobrą scenografię sprzed kilkunastu lat. Najciekawsze są tam małe scenki. Tylko one eksperymentują, starają się dać coś nowego. W Wiedniu poznałem aktora Burgtheatru — Veita Relina, który własnym sumptem prowadził taką eksperymentującą scenkę z młodymi aktorami. Kiedy z mojej inicjatywy odwiedził on Polskę, był oczarowany naszymi teatrami, naszą scenografią i inscenizacyjnym nowatorstwem. Nasze życie teatralne wydało mu się w ogóle znacznie ciekawsze niż w Austrii i niektórych innych krajach zachodnich.

Rozmawiał:

O. B.

ukazało się wznowienie jednego z jej najciekawszych i najbardziej przemawiających do odbiorcy utworów, tomu opowieści „Ludzie stamtąd”. Calej kunsztu pisarki Marii Dąbrowskiej, całe jej wyczucie na los ludzi, na krzywdę i poniżenie, całe pragnienie współdziałania piórem w dziele naprawy, zawarły się w tym utworze, gdzie znaleźć można zresztą i niektóre pierwiastki autobiograficzne.

Bestsellerem czytelnictwa jest „Ostatnia z rodu” Pawła Jasienicy, świetnie, ze swadą, z pasją, a nade wszystko z pełną wiedzą i ogromną kulturą napisana opowieść, z porażającą esejem i jakiegoś subtelnościami, o Annie Jagiellonce, jednej z najciekawszych kobiet postawionych na świetniku polskiej historii. Jakże to świetnie się czyta, wiele wypływa tam zgoła nieznanych ciekawostek, z wielu zaskakującymi sadami autora spotyka, z którymi człowiek albo się godzi albo solidnie buntuje.

No i na zakończenie jeszcze jedna rarytas: nowe wydanie „Myszy i ludzi” Johna Steinbecka, kto wie, czy utworu, nie napełnionego do robku tego pisarza, najostrejsze okaleczającego pisarza postawę pełnego buntu autora, postawę tak bardzo zaangażowaną w los zwykłego człowieka.

Z KSIĄŻKĄ NA TY

MODEL 1966



Nowa formuła targów

W tym roku pojawiły się pewne nader interesujące symptomy nowej formuły Targów Poznańskich. Pisze o tym Zygmunt Szelią na łamach „Polityki” w artykule „Nowa formuła: kooperacja”. Ta nowa formuła autor upatruje w tym, że Targi są obecnie przede wszystkim wielką szkołą wiedzy technicznej; jednocześnie — w związku z przekształcaniem się dotychczasowych międzynarodowych stosunków gospodarczych — handel zagraniczny ustępuje miejsca różnym formom współpracy, podziału pracy, specjalizacji, kooperacji. Jeśli chodzi o pierwszą sprawę, to autor widzi potrzebę pewnych zmian organizacyjnych na Targach co umożliwiłoby osiągnięcie praktycznych korzyści przede wszystkim fachowcom.

Cytując przykłady rozmów i pertraktacji prowadzonych w Poznaniu w sprawie różnych form kooperacji przemysłowej Szelią stwierdza:

„Intensywne rozmowy kooperacyjne, wsparte demonstracją dorobku naszej gospodarki (a targi były świetnym zaiste, pokazem), to najciekawszy i najważniejszy nurt tegorocznej imprezy. Twierdząc, że tu właśnie upatrywać należy głównej szansy, która decyduje o przyszłym powodzeniu targów w następnych latach.”

Ten sam tygodnik zamieszcza kolejny artykuł na temat modelu gospodarki, który ma obowiązywać w latach 1966-70. Aleksander Pászynski w artykule „Szczelb niżej” jak określa główny posłulat propozycji zmian w dziedzinie metod zarządzania gospodarką:

„Ustalenie, co stanowi główny postulat projektowanej reformy, nie nastręcza kłopotów; rzecz polega na radykalnym przesunięciu funkcji bieżącego zarządzania ze szczebla centralnego o stopień niżej, to znaczy do zjednoczenia. W tym układzie zjednoczenia przemysłowe, bo o nich tylko mowa — mają stać się samodzielnymi podmiotami gospodarki, wielkimi, w pewnym sensie niezależnymi, organizmami ekonomicznymi, podejmującymi decyzje i za nie odpowiedzialnymi.”

Referując następnie sprawy, które obejmie reforma zarządzania autor konkluduje:

„Jeśli (...) uznać, iż proponowane zmiany w metodach planowania i zarządzania, stanowią początek i oznaczają fragment większego kompleksu reform, to nie jest źle. Pod warunkiem jednakże, iż cała reforma nie zostanie nadmiernie rozciągnięta w czasie, bowiem czasu mamy stosunkowo mało.”

CZEGO UCZĄ EKSPERYMENTY

Problemy związane z mechanizmem gospodarowania omawia także „Życie Gospodarcze”, w którym Władysław Dudziński pisze, że w latach ubiegłych dokonano dość licznych odcinkowych zmian w zasadach i trybie planowania oraz finansowania inwestycji, finansowania i oceny prac przedsiębiorstw. Równolegle od dawna rozwija się eksperymenty gospodarcze. Oceniając te ostatnie, autor stwierdza m.in.:

„Nowe zasady zarządzania, stosowane eksperymentalnie, są o wiele bardziej dostosowane do realizacji jakościowych zadań następnego etapu rozwoju gospodarczego. Preferencje planu centralnego mogą tu być w sposób bardziej dokładny transformowane do poszczególnych przedsięwzięć na konkretne zadania, zaś ich egzekwowanie staje się bardziej skuteczne. Stąd wniosek, że nadszedł czas, aby wypróbowane zasady upowszechnić w jak najszerszym zakresie i podnieść je do rangi nowego mechanizmu gospodarowania.”

Opole — Piosenka — Rozrywka

Dwie kolumny druku poświęca „Kultura” festiwalowi piosenki polskiej w Opolu oraz imprezom rozrywkowym. Stanisław Grochowski w felietonie „Już wygarnę ja ci” krytykuje nasze piosenkarstwo piśmiennictwo. Cytuje przykłady piosenek śpiewanych (nieraz nagradzanych) w Opolu, autor dochodzi do smutnego wniosku:

„Mam niejasne przeczuć, że po prostu opłaca się pisać teksty szczególnie głupie, wyjątkowo niechlujne, pozbawione wszelkich ambicji.”

Witold Filler w felietonie „Opole po raz trzeci” krytykuje sposób przygotowania festiwalu oraz oceny jury, pisząc m.in.:

„Zadaniem tej powszechnej gieldy rytmów i melodii, jaką jest Opole, winno być zwrócenie uwagi szeregowym wielbicielom piosenki, co spośród tego, co już śpiewają, jest dobre, wartościowe, artystyczne. Świadomości tego naczelnego zadania Opola, zabrakło mi w decyzjach jury.”

Lech Terpilowski zajmuje się naszym przemysłem rozrywkowym dochodząc do wniosku, że takiego przemysłu u nas — prawdę mówiąc — prawie w ogóle nie ma.

„Mam tu na myśli m.in. nieobecność w naszym życiu artystycznym — pisze — jakiegokolwiek sy-

stemu kształcenia kadr dla potrzeb sztuki estradowej we wszystkich jej formach, rodzajach i gatunkach. Młodzież, wstępująca w szranki artystyczne na tym obszarze sztuki, wcale niełatwym przecieć, jest całkowicie zdana na własną intuicję, na los szczęścia i widzimisię instytucji patronujących rozrywce (instytucji — dodajmy — z których każda prowadzi własną, odrębną politykę, czego rezultatem, że np. piosenki odrzucające w telewizji — jako zdecydowanie grafomaniackie, trafiają na antenie radiowej i na płyty).”

Klient i przepisy

W „Tygodniku Demokratycznym” Tadeusz Frey — (artykuł „Nie wiem” — nie jest tłumaczeniem) [bo kłóż nie jest klientem w sklepie?] problem nieprzestrzegania obowiązujących zarządzeń w takich sprawach, jak obowiązek sprzedaży towaru także z wysławy czy obowiązek przyjęcia reklamacji zgłoszonej do sklepu w ciągu 14 dni od dnia zakupu. Niestety, iak do tej pory większość sklepów obchodzi te zarządzenia, a w części — ekspedienty nawet nie znają obowiązujących przepisów.

✱

Ponadto: „Gazeta Chłopska” przynosi artykuł Andrzeja Piszczoty „Rodzinna wojna”, w którym autor pisze o sporze rodzinnym w powiecie szamotulskim o hektar ziemi, wartości około 100.000 zł; koszty pięciu lat procesów pochłonięły już prawie połowę tej sumy... „Tygodnik Kulturalny” zamieszcza artykuł Mikołaja Kozakiewicza „Pochodzenie socjalne — tak czy nie?”, omawiający sprawę, związane z wprowadzeniem nowych zasad punktacji przy przyjmowaniu na wyższe uczelnie.

LEKTOR